

Pola Andrus



Morderstwo
W pensjonacie



Pola Andrus

Morderstwo w pensjonacie

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2016

Pola Andrus

„Morderstwo w pensjonacie”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o. o. 2016

Copyright © by Pola Andrus 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Pola Andrus, Wydawnictwo Psychoskok

Autor zrezygnował z korekty profesjonalnej wydawnictwa

ISBN: 978-83-7900-543-7

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SPIS TREŚCI

Piątek, 3 października.....	4
Sobota, 4 października	47
Niedziela, 5 października	122
Niedziela, 5 października, później	182
Poniedziałek, 6 października	202
Wtorek, 7 października.....	345
Środa, 8 października	473
Poniedziałek, 10 listopada.....	534

PIĄTEK, 3 PAŹDZIERNIKA

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Oskara Milera, od razu wiedziałam, że będą z nim kłopoty.

Po pierwsze i najważniejsze, był facetem.

Po drugie, był niesympatyczny.

Po trzecie, wepchnął się przede mną do kolejki do kasy, zupełnie jakbym była niewidzialna. A trudno nie zauważyć osoby mojej postury. Mierzę prawie metr osiemdziesiąt centymetrów i noszę oryginalne, artystyczne stroje. Tego akurat dnia miałam na sobie moje najnowsze wdzianko w kolorowe kwiaty. Takich barw z pewnością nie stworzyłaby natura. Ba, gdyby natura zobaczyła te odcienie oranżu i fioletu, schowałaby się ze wstydu do ciemnego obrazu jednego z tych malarzy, co nigdy nie używali niczego poza czernią i szarością. Czasem całkiem poważnie sądziłam, że nie stać ich było na paletę farb i stąd ograniczenia w kolorach.

W każdym razie ludzie na mój widok mrużyli oczy, jakby poraził ich tajemny blask. Nic dziwnego. Wygrzebane w ciucholandzie wdzianko uzupełniłam żółtymi spodniami, a na głowie miałam nową fryzurę. Z daleka przypominała stożek zakończony ostrym czubkiem, co jeszcze dodawało mi wzrostu. Miałam samopoczucie dobrze ubranej kobiety, kobiety, która dopiero co wyszła od fryzjera.

Ten facet nie miał żadnego prawa do psucia mi nastroju.

Niewysoki, niższy ode mnie, ubrany był w ciemny garnitur, jaki zwykle noszą przedsiębiorcy pogrzebowi. Najpierw potrafił mnie podczas przymierzania butów. Usiadłam ciężko posapując na zwolnionym właśnie taborecie, gdy ten znieacka nadepnął mi na haluks. Spojrzałam na niego z naganą, ale nie zareagował.

Trudno.

Wróciłam do rozważania, dlaczego w każdym obuwniczym sklepie zawsze jest pełno butów w niestosownych rozmiarach. Półki wręcz uginają się pod ciężarem par oznaczonych cyframi trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, natomiast dla normalnie zbudowanych kobiet obuwia brak. Moja prawa stopa prócz haluksa ma rozmiar czterdzieści trzy. Lewa zwykle miała czterdzieści dwa, ale ostatnio coś się zmieniło. Jakby urosła. Dziwne, bo niemal dorównała tej z haluksem. Zaniepokoiło mnie to. Jeśli przez pięćdziesiąt lat stopy różnią się rozmiarem, to powinno tak być aż do samej śmierci. Niestety, mój rodzinny doktor zupełnie zlekceważył ten problem.

Zbadał mnie, nie powiem. Sprawdził ciśnienie, zrobił ekg, nawet zlecił badania krwi. Nie, żebym zbyt przjmowała się swoim zdrowiem. Jednak lubię wiedzieć, co się dzieje. Samotna kobieta musi sama o siebie dbać. Zresztą pozostałe też muszą same dbać o siebie.

Malik pracuje u nas dopiero kilka lat, i ma sporo zalet, prócz oczywistej wady, że jest mężczyzną. Ale na to pewnie nie mógł nic poradzić.

Pokazałam mu stopy a on je uważnie obejrzał, zerknął na moje dłonie, a potem na uszy.

- Nic nie wskazuje na akromegalię – stwierdził gryząc wargę, zupełnie jakby coś go bawiło. Dziwny człowiek. – Ale zrobimy badania. Dawno pani nie widziałem. Dalej pani wiośtuje?

Zignorowałam pytanie.

- Co to ta akromegalo...? – zaniepokoiłam się.

- Odpowiednik nadmiaru hormonu wzrostu u dorosłych. U dzieci zaburzenie to powoduje gigantyzm, a w średnim... to jest późniejszym wieku, po okresie dojrzewania, powiększenie dłoni, stóp, obwodu głowy. Głównie twarzoczaszki – czoło, nos, żuchwa. Takie rzeczy. Pacjenci dawniej skarżyli się, że ich kapelusze robią się za ciasne.

- Uszu też? - spytałam z przerażeniem, wyobrażając sobie siebie w charakterze potwora o guzowatym czole ze słoniowatymi małżowinami, sterczącymi po obu stronach przerośniętej głowy.

- Uszy rosną powoli, ale przez całe życie. Proszę kiedyś porównać fotografie kogoś z młodości i starości. To normalny objaw, że są większe. Stopy też się powiększają. Zapewne tuż po studiach nosiła pani mniejszy rozmiar buta. Ale ja nie podejrzewam u pani zaburzeń hormonalnych. Zmiany zawsze dotyczą obu kończyn, a pani ma problem tylko z jedną stopą.

„Gadaj zdrów” – pomyślałam sobie. W końcu to nie on będzie wyglądał jak uszatek. W domu powyciągałam stare albumy ze zdjęciami rodziców. Malik miał rację. Ojciec pod

koniec życia, świeć, Panie nad jego duszą, miał dwukrotnie większe uszy niż w dniu ślubu. Dziwne, bo na starość musiał używać aparatu słuchowego. Widać rozmiar nie miał nic wspólnego z jakością. Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl – a może i on cierpiał na ten gigantyzm uszny? I ja to odziedziczyłam? Z wrażenia zadzwoniłam do przychodni, ale rejestratorka odmówiła podania mi domowego telefonu Malika. Musiałam się sama uspokoić i wszystkie koty z okolicy przyszły pod moje drzwi, gdy wylałam resztki waleriany na trawę.

Tydzień później znów stałam pod gabinetem Malika, spocona z wrażenia. Doktor zlecił mi badanie dna oka, co według mnie nie miało żadnego sensu. Może myślał, że źle oceniam rozmiar swojej stopy. Okulista nie był rozmowny. Krzyknął tylko „norma, norma” i już byłam poza drzwiami, otoczona przez rozwścieczony tłum pacjentów. W ręku ścisnęłam papierowy wydruk – moje osobiste wyniki. Krwi i oka. W Poradni Rodzinnej pokazałam je Malikowi.

- Wszystko w porządku, jak zresztą przypuszczałem – stwierdził, pobieżnie zerkając w cyfry i litery. Nie wiem, jakim cudem mógł to ocenić, patrząc przez milisekundę. Niektórzy to mają tupet. Siedziałam cicho, zastanawiając się, co dalej. Wreszcie doktor przerwał ciszę.

- Ma pani mnóstwo energii, pani Figiel. Starczyłoby dla kilku osób. Nie zastanawiała się pani nad - zawiesił głos – jakąś działalnością społeczną?

Akurat. Tu cię mam. Nie mam najmniejszej ochoty na nieustanne poganianie mnie przez Bogdankową, która wodzi rej w Radzie Parafialnej w pobliskim Pustkowie. U nas, w Nowym Lasku, też istnieje coś takiego, ale Bogdankowa i tu nieraz przyjeżdża. Straszna baba. Okropnie się szarogęsi, jakby pozjadała wszystkie rozумы. Nikt nie będzie mnie namawiał do żadnej działalności. I bez tego mam dość zajęć. Muszę utrzymać swój mały domek, nakarmić koty, odwiedzać mamę, chodzić z kijkami, wiosłować po jeziorze, no i gotować, sprzątać, robić zakupy. I tak dalej.

To co wymieniłam, to codzienne „przyjemności”. Dochodzą jeszcze do tego obowiązki związane z tym, że jestem na zasiłku przedemerytalnym. Po dwudziestu pięciu latach nauczania rosyjskiego uczelnia pożegnała się ze mną, wręczając mi wypowiedzenie i kwiatek w doniczce. Kwiatek o mało nie wylądował na głowie rektora, myszowatego faceta w wymiętej marynarce. Uratowała go sekretarka, typ wyzywającej blondyny.

Ale to było rok temu; od tamtej pory mam nieustanne problemy finansowe. Domek jest na szczęście mój, ale wciąż brakuje mi na codzienne potrzeby.

Od czerwca mam dodatkową pracę. Jest to typowa praca na czarno, dobra dla niewolników - wyrobników, ale nie zwykłam wybrzydzać. W końcu nie miałam innych propozycji.

Praca polega na „opiece” nad pensjonatem jednego miejscowego, który wzbogacił się w USA i wybudował tutaj,

nad samym jeziorem, piękny budynek. Miejscowy nazywa się Dunaj i tak samo nazwał hotelik.

„U Dunaja”. Oryginalny pomysł.

Tymczasem doktor Malik zmrużył te swoje ciemne oczy. Zwykle melancholijny, dziś robił wrażenie nieco... rozbawionego? Ciekawe, co go tak rozśmieszyło.

- Nie chodziło mi o Radę Parafialną – powiedział głośno, jakby czytając mi w myślach. – Nie chcemy wysadzać salki przykościelnej w powietrze. - W Lęborku organizuje się chór. I uniwersytet trzeciego wieku. Mogłaby pani tam pracować.

Nie mogłabym. Muszę pracować za pieniądze, a nie za darmo. Zresztą mam już dość nauczania. Zebrałam się i wyszłam, zamykając mocno drzwi. Też coś. Wrzucać mnie do jednego worka ze staruszkami. Dobrze jednak, że nie mam tego... akro czegoś.

Co tam. Nie noszę kapelusza, a buty jakoś dobiore.

Ale może wspomnę o okolicy, w której mieszkam. Nowy Lasek to mała pomorska miejscowość, położona wśród lasów, pól i łąk. Gdzieś tam błyszczą rzeczki i kręcą się złowrogie ramiona wiatraków. Niedaleko, ale też nie bardzo blisko, szumi Bałtyk. Jakieś piętnaście kilometrów. Turystycznie stawia nas to w niekorzystnym położeniu. Wczasowicze ciągnąc na wybrzeże wybierają miejsca położone niemal na plaży. U nas nawet latem jest spokojnie, choć Dunaj robi co może, by zareklamować swój pensjonat. Nowy Lasek leży w pobliżu pięknego jeziora. Jesienią, tak jak teraz, w jego wodzie

odbijają się kolorowe drzewa. Bo las otula jezioro szczelnym płaszczem, z jednym tylko „zapięciem” – wąską drogą prowadzącą do domu Dunaja. Brzegi są strome i niezbyt dostępne, całe w sosnach, klonach i dębach. Tafla wody migocze głęboko, znacznie poniżej poziomu przebiegającej niedaleko szosy do Pustkowie. Jeśli jesteś na dole, na przykład wiosłując albo pływając, to nie zobaczysz stamtąd nic prócz drzew. Czasami tylko słychać szum przejeżdżających aut. Ten i ów kierowca zatrzymuje się, zwabiony blaskiem w dole, ale dojście od szosy do jeziora jest uciążliwe. Chyba, że zna się świetnie całą okolicę, tak jak ja. Turyści rzadko do nas zagląдают – pędzą na północ, w kierunku morza, piasku i krzyżących mew.

W takim to miejscu, na niewielkim wzgórzu, ulokował się pensjonat, w którym pracuję. Jestem właściwie zarządzającą, gospodynią, i sprzątaczką w jednym, choć generalnie porządki robię z pomocą dwu pań z Pustkowie. Milena Lach i młoda Sylwia Prokop chętnie pomagają. Dunaj ogłasza się w internecie i gazetach - ustala cenę i pobiera pieniądze – zawsze z góry. Do mnie należy cała reszta.

Witam umówionych gości, pokazuję im pokoje, zmieniam pościel, i, o ile trzeba, szykuję śniadania i kolacje. Choć może „szykuję” to za dużo powiedziane. Zamawiam jedzenie w najbliższej restauracji, a oni przywożą to wszystko o określonych porach. Większość gości woli być na własnym wyżywieniu. Korzystają wówczas z wielkiej, wspólnej kuchni, doskonale zresztą wyposażonej.

Dom ma jedno piętro z kuchnią, salonem i jadalnią na parterze. Z salonu można wyjść na pomost i dotrzeć do jeziora, nie narażając się na kontakt z mokrą trawą, pasikonikami, żabami, i tym podobnym. Obok kuchni mieści się coś w rodzaju pomieszczenia gospodarczego, gdzie przechowuję szczotki, odkurzacz, deskę do prasowania, a na półkach układam pościel i koce. Na dole poza tym jest tylko łazienka i jeden mały pokój, ale nie sypialnia. Raczej coś w rodzaju gabinetu, z biurkiem, szafą biblioteczną, wygodnym fotelem na kółkach i telewizorem. W rogu ustawiono narożną sofę. Drzwi balkonowe prowadzą na ten sam co drzwi salonu pomost, łagodnie schodzący do przystani z łódkami i rowerem wodnym. Według mnie to najlepszy pokój w pensjonacie, ale nie jest wynajmowany.

To znaczy nie był do tej pory. Ale wróćmy do piętra.

Cała góra to sześć sporych pokoi z osobnymi łazienkami. Wszystkie są standardowo umeblowane w jasne drewniane meble. Na wyposażeniu znajdują się: łóżko lub dwa, kanapa, szafa ubraniowa, stolik z krzesłami, szafki nocne i telewizor. Podłogi pokrywa terakota ułożona w rozmaite wzory, nawet ładna. Poduszki nie są sztuczne, tylko z pierza, koce są prane po każdym gościu, ściany i porcelana w łazienkach nie mają śladu pleśni. Jednym słowem, to elegancki pensjonat, nie jakiś tam „Wiktor” z Pustkowie, który szczyci się nadmuchanym basenem na podwórku. U nas nie ma basenu, ale mamy jezioro, drewniane łodzie ze sterem, i kajaki. W ogóle to cały teren przy domu jest schludny i przyjemnie zagospodarowany.

Jest altana z obowiązkowym grillem, dla wielbicieli surowego w środku mięsa. Jest nawet mała prywatna wędzarnia, jeśli ktoś lubi umieścić w ciepłym dymie to, co akurat złowił. Wszędzie stoją ławy i stoliki, dla tych nieustraszonych gości, którym nie wadzą komary. Szopa posiada coś w rodzaju zadaszzonego ganku, gdzie można usiąść i podziwiać widok na jezioro. Wędkarze trzymają w niej swój sprzęt, a na zimę wnosi się kajaki i łodzie. W kącie jest kilka rowerów o różnym stopniu zużycia, ale sprawnych. Pomost wychodzi daleko w wodę. Latem można się na nim opalać albo siedzieć ze spuszczonej do wody nogami i cieszyć się wakacjami.

Choć pracuję tam zaledwie od czerwca, zauważyłam pewną prawidłowość wśród gości. Najpierw przybywają emeryci. Mają ze sobą kijki do nordic walking, wiaderka na jagody i gumowe buty. W środku lata dominują wędkarze, ale nie stroniący od adidasów, grilla i jazdy na rowerach. Jesienią znów mamy starszych ludzi, tym razem z koszami na grzyby. Kuchnię wypełnia aromatyczny zapach suszących się prawdziwków, a na zewnątrz, za progiem, tłoczą się zabłocone gumki. Wędkarze też są wówczas obecni, ale jakby to powiedzieć... w odwrocie. Ogólnie da się wytrzymać.

Mieszkam na skraju Nowego Łasku, w domu najbliższej jeziora. Do pracy mam około kilometra. W sezonie przemierzam ten dystans w ciągu ośmiu minut.

Wielką zaletą mojego zatrudnienia jest swobodny dostęp do łodzi. Wprost przepadam za pływaniem po jeziorze,

kąpielą w małych zatoczkach, gdzie nikt mnie nie widzi i nie komentuje mojego gumowego czepka nabytego w szmateksie i pływackich różowych okularków. W końcu to nic takiego, że są ozdobione napisem „jestem sexy” i podobizną umięśnionego troglodyty.

Nie zamieniłabym ich na inne – wcale nie przepuszczają wody.

Czasami, kiedy jestem na łodzi, spotykam miejscowych, też na łodziach. Niedawno widziałam doktora w towarzystwie trzech starszych pań. Wiosłował, aż miło. Poza nim stary Gryko i mąż Bogdankowej są częstymi bywalcami jeziora. Wcale się nie dziwię. Gdybym to ja musiała mieszkać z Wiesią Bogdanek, to umykałabym na łódź w każdej wolnej chwili.

Wracając jednak do obuwicznego. Ten nieduży facet potrafił mnie drugi raz, kiedy stałam przy kasie. Wzięłam się pod boki. Spojrzałam na niego.

On spojrzał na mnie.

Uśmiechnął się dobrotliwie i wyrozumiale, od czego od razu zrobiło mi się niedobrze. Nie cierpię, kiedy ktoś tak patrzy. Tak samo patrzył na mnie rektor, gdy ciskałam w niego doniczką. Dwulicowy typek.

- Pani chce mnie przeprosić? – spytał słodko Nieduży. - To dobrze. Nie należy się przepychać w kolejce. To niechrześcijańskie. Napisane jest bowiem, żeby wszystkim dobrze czynić.

Zagapiłam się w Niedużego, mimowolnie otwierając usta. Miał piękny, głęboki głos, starannie modulowany. Misjonarz? W Lęborku? Może dlatego ubiera się w pogrzebowy garnitur, pomyślałam, marnując czas przeznaczony na działanie. Mogłam powiedzieć mu mnóstwo rzeczy, wyjaśnić, co myślę o facetach lekceważących kobiety, o facetach nadeptujących na haluksy, o facetach w ciemnych garniturach z nabożnymi minami. W ogóle o wszystkich facetach.

Wykorzystując fakt mojego myślenia, Nieduży sprawnie zapłacił za obuwie i zniknął z mojego pola widzenia. Pewnie dalej bym tam stała, gdyby nie kasjerka. Wyciągnęła dłoń wyjmując mi z rąk najnowszy hit – pantofle na obcasie z zapięciem w kostce. Rozmiar czterdzieści trzy. Czerwone, z lakierowanego tworzywa sztucznego. Pomyślałam, że ładnie mi się skomponują z zieloną suknią w pomarańczowe róże, niedawno wygrzebaną „z kosza”. Ciągle kupuję sobie ciuchy w sklepach z używaną odzieżą. To coś, co jest wciągające, jak hazard, jak szukanie skarbu czy borowika. Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie.

- Należy się pięćdziesiąt osiem – powiedziała stanowczo kasjerka. Pudełko z obuwem umieściła przezornie poza moim zasięgiem.

Zapłaciłam, wzięłam swój nabytek i wyszłam na październikowe popołudnie.

Była dopiero czternasta. Początek jesieni, wyjątkowo w tym roku pogodnej i zielonej. Od kilku dni ustalił się nad

nami wyż ze wschodu, stabilizując ciśnienie atmosferyczne i powodując poprawę nastroju u wędkarzy i cyklistów, a smutek wśród grzybiarzy. Postanowiłam, że przed powrotem do domu zajrzę jeszcze do najbliższej cukierni, by kupić sobie ciastko z kremem.

Ciastka są niezdrowe, zawierają cholesterol i mnóstwo kalorii, ale należało mi się coś po spotkaniu z Niedużym. To będzie rodzaj nagrody pocieszenia, więc nie liczy się jako słodczyce.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

